

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 56

Nr. 14. | Warszawa, 2 (15) lipca 1901 r. | Rok III.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

OGROMNIE GORĄCO..

Wyprawa myśliwska do Sudanu

przez

Jana Sztolcmana.

(Dalszy ciąg).

W dniu tym (15-go lutego) postój południowy urządziliśmy w miejscowości Taula, a ztąd w trzy godziny doszliśmy do Ahmed-Mogit, miejsca naszego noclegu, nad samym brzegiem Nilu położonego. Nasza służba kairska wzięła się zaraz do rozpinania namiotu i ustawiania łóżek polowych, gdy Assad, rodem syryjczyk, używany stale do obsługi naszego stołu, zajął się przygotowaniami do obiadu. Już nakrył mały polowy stolik czystym jak śnieg obrusikiem, porozstawiał na nim talerze i butelki, gdy pomocnik jego zajął się tymczasem ochładzaniem w „refrygeratorze" wina „Gumpoldskirchen." Kucharz Bohos porozstawiał swe kociołki na rozpalonem ognisku i smaży już coś, mając sobie do pomocy Azisa. Stary Szaja, nasz dragoman, wydaje głośno swe rozkazy, posyła ludzi po wodę do rzeki i czuwa nad porządkiem ogólnym. Tymczasem wielbłądy rozjuczono i na paszę puszczono. My dwaj, znużeni marszem i gorącem, zasiedliśmy wygodnie na składanych krzesłach i przyglądamy się z pewnem zadowoleniem temu ruchowi, a jeszcze więcej krajobrazowi, jaki się przed nami roztacza. Ochłonąwszy trochę ze znużenia, robimy obaj kompletną tualetę.

Brzeg tu wysoki na parę pięter. U stóp naszych wije się szeroką wstęgą Nil „Błękitny" w całem tego słowa znaczeniu. Po obu brzegach gęsta zwrotnikowa roślinność grunt pokrywa. Na przeciwległej mieliźnie piaszczystej uwija się stado małpeczek, które pod wieczór przybiegły do wody, aby swe pragnienie zadowolnić. Różnorodne ptactwo żeruje; spokojnie ciągną sznury ibisów lub żórawi. Słońce tymczasem chyli się ku zachodowi i żar jego spada szybko.

Na przeciwległym brzegu, w niewielkiej od nas odległości zapalono dżunglę. Wiatr pędzi ku rzece tumany szarego dymu, od spodu widać czerwone języki płomienia; słychać jakby szum zbliżającego się deszczu. Pożary te dżungli widać codzień w kilku naraz miejscach. To krajowcy zapalają trawy, aby z nastaniem deszczów młoda, soczysta ruń posłużyła za paszę dla ich bydła. Pożar taki ciągnie się nieraz szerokim pasem, niszcząc trawy i drobniejsze podszycie, a osmalając pnie grubszych drzew, których szybko przechodzący ogień zniszczyć nie jest w stanie.

Z nastaniem zmierzchu podano tyle upragniony obiad, bo już się nam żołądki buntować zaczynały. *Menu* nasze mogłoby zadowolnić bardzo nawet wybrednego smakosza: buljon z jarzynkami, polędwica z antylopy z kartoflami, pentarki z ryżem i kompot z doskonałych kalifornijskich brzoskwiń. Do tego wino białe i pół buteleczki szampana, a na zakończenie wyśmienita kawa „po turecku" i papierosy egipskie. Trudno chyba o lepsze jedzenie wśród dzikiej dżungli sudańskiej.

Assad zapalił nam świecę, oprawioną w ogrodowym lampionie. Rozmawiamy sobie wesoło o naszych planach na przyszłość, przyglądając się z zachwytem wspaniałemu pożarowi dżungli, jaki teraz w całej pełni zajaśniał. Hrabia każe zawołać shikarich na zwykłą poobiednią „radę wojenną". Stary Idris, Abdallah i Mohamed zasiadają w kuczki wokoło naszego stolika i rozpoczyna się badanie przy pomocy tłómacza, którym jest zwykle służący Ahmed, mówiący doskonale po angielsku, lub stary Szaja, władający biegle francuzkim językiem. Według powziętego planu jutro rano każdy z nas wyruszy osobno, wziąwszy ze sobą shikarich, strzelbonośców i wielbłąda do niesienia zakąski, wody dla ludzi i zwierząt, a ewentualnie do przywiezienia zabitej zwierzyny.

Ponieważ wstać trzeba wcześnie, więc zapisawszy nasze dzienniki, które obaj skrupulatnie prowadzimy, już o 8-ej kładziemy się do naszych łóżek: Hrabia w namiocie, ja tylko pod przykryciem mego moustikera, przez muszlin którego na wskroś widzieć mogę nawet gwiazdy na niebie.

Głęboko wryły się w mej pamięci te cudne noce sudańskie, jak zresztą cała ta wyprawa, pełna wrażeń nowych, a uroczych.

Wkoło naszych łóżek palą się jaskrawe ognie, a przy nich grupy Arabów i murzynów, zajętych spożywaniem wieczornej strawy, lub wesoło gwarzących między sobą. Niekiedy między nimi wszczyna się sprzeczka—najniewinniejsza zresztą, ale pozornie przybierająca tak groźny charakter, że nieświadomy rzeczy mógłby nawet krwawy epilog przewidywać. Gdy się ta kłótnia zbytnio zaostrza, rozlega się głos Szai, który chwilowy spokój sprowadza. Wielbłądy układły się do spoczynku i spokojnie żują spożytą paszę; tylko czasami który z nich zaryczy strasznie, niby lew jaki; osły peryodycznie rozpoczynają swój koncert. A od rzeki dochodzi daleki gwar żórawi i głos jakiś dziwny, jakby wołanie ludzkie o pomoc... *)

I słucham tego mieszanego zgiełku, a myśl moja, biegnie do kraju, do drogich mi osób, tam daleko,

*) Zdaje się, że głos ten wydaje gatunek orła bielika (*Haliaetus vocifer*).

WALKA BYKÓW.

Madryt, d. 20 czerwca 1901 r.

Gdym przed tygodniem jeszcze siedział w Biarritz, nad brzegiem Atlantyku i rozkoszował się pełnią ciszy morskiej, ani mi w głowie było, żebym za kilka dni miał już być po... walce byków w Madrycie! A stało się to za sprawą mego przygodnego towarzysza podróży, Hiszpana, któremu zwierzyłem się, że najbliższym etapem w mojej włóczędze ma być jego ojczyzna. Uprzejmy Kastylijczyk jął mi udzielać cennych wskazówek, jak sumę czekającego mnie wyzysku ograniczyć do minimum. Coś mi tam prawił o stosunkach społecznych, o pretensyach Katalonii, stracie Kuby, śmierci Canovasa i temu podobnych bolączkach hiszpańskich. Słuchałem cierpliwie tych wynurzeń, prowadzonych niemiłosiernie przekręcaną francuzczyzną, dorzucałem niekiedy jakiś wyraz dla popisania się może ze znajomością przedmiotu, a w końcu rzekłem od niechcenia:

— Na wszystko zgoda, tylko tej walki byków nie mogę wam darować!...

— Co? Jakto?! Pan żartuje!—odparł żywo Hiszpan, zdumiony niespodziewanym zarzutem.

— Nie, panie!—odpowiedziałem z powagą, przypominając sobie wszystkie czytane opisy i pełne oburzenia artykuły. Nie widziałem tego, ale... to musi być... dzikie, nieludzkie, odstręczające widowisko!... Nie rozumiem przyjemności!...

-- Boś jej pan nie oglądał!... Panie, to wspaniałe, porywające!... Ba, a *corrida* w Madrycie!... Gdybyś zobaczył takiego *Ricarda!* Albo *Antonia Fuentes, Manuela Garcię*... lub *Machaquitę!!*... Matadorzy pierwszej wody!... Albo takiego *banderillero* jak *Vargas*... Staje przed bykiem, klęka i wieje mu przed oczyma czerwonym płaszczem... byk rzuca się tuż około niego, a on klęczy i ani drgnie!... Niezrównany!...

— Ależ, panie — przerwałem znudzony wybuchem niezrozumiałych dla mnie słów i zachwytów—to mnie nie przekonywa! Lubię torreadorów na *Carmenie*, w dobrej obsadzie głosów... ale gdybym miał władzę u was, to zacząłbym od zakazania tej zabawy!...

Hiszpan roześmiał się ironicznie.

— A czyż jest na świecie władza, któraby się ośmieliła podnieść rękę na nasze *Plazas de Toros*?!...

o tysiące wiorst. Nademną czyste, wyiskrzone niebo migoce tysiącami gwiazd: wprost w zenicie wspaniały Orion, tam Plejady, ku północy—nie wysoko nad horyzontem Wielka Niedźwiedzica, niby wóz ze złamanym dyszlem, do góry zwróconym. Krzyż Południowy jeszcze nie wszedł...

Szybko sen morzy znużone powieki, pogrążając ciało moje w twardem znieczuleniu. Zasypiam tak mocno, że gdy się obudzę, zda mi się, że ledwie parę minut przespałem, a tu już w obozie ruch ranny się rozpoczyna: ludzie ognie podniecają i słychać urwane rozmowy. Od strony dżungli dochodzi potężne stękanie lwa, przytłumione, a jednak tak groźne, że mimowoli respektem przejmuje duszę naszą. Budzę Hrabiego bo już zaraz czas będzie wstawać i obaj słuchamy tego wspaniałego koncertu.

W dalszym ciągu naszej wyprawy nieraz jeszcze słyszałem z obozu ryk lwa i zawsze sprawiał on na mnie silne wrażanie, jakby mieszaninę zachwytu i poszanowania. Od dziecka lubiłem przyglądać się lwom, chociby nawet w menażeryach lub ogrodach zoologicznych. Niepospolity majestat tego zwierza przykuwał wzrok mój magnetyczną siłą. Tak samo i ryk jego potężny, rozlegający się wśród ciszy nocnej, czyni, że go słuchamy z zachwytem, o ile znajdujemy się we względnem bezpieczeństwie.

O godz. 5-ej rano wstaliśmy, a po sumarycznem umyciu się i wypiciu rannej herbaty przygotowaliśmy się do wyprawy—każdy na swoją rękę, jak to wyżej zaznaczyłem. Ja wziąłem ze sobą obu moich shikarich—Mohameda i Ibrahima,—a nadto dwóch młodych Arabów, którzy się do nas w Sendze przyłączyli. Na wielbłąda naładowano zapas wody, oraz koszyk z prowizyą. Towarzyszył mi też Stefan, uzbrojony w śrótówkę kaliber 12-y, gdy dla mnie wzięto mannlichera i cal. 10, na wypadek spotkania ze słoniami lub bawołami. Szliśmy bowiem, jak to mówią, „na podumajkę," a możliwość spotkania grubego zwierza nie była bynajmniej wykluczona. Dla mnie na wypadek znużenia prowadzono moją szpakowatą kobyłkę, dla Stefana zaś—osiołka.

Wyruszyliśmy z obozu w chwili, gdy rąbek czerwonego słońca wynurzał się zpod horyzontu, zatem o godzinie 6-ej mniej więcej, a przebywszy łąkę, wkroczyliśmy do dżungli, kierując się przeważnie od rzeki, to jest, jak w tem miejscu, trzymając się przeważnie kierunku południowego, a niekiedy zachodniego. Od łąki dżungla poprzerzynana jest dość głębokiemi jarami, któremi zapewne spływa woda w porze deszczów. W tej części spotykają się większe drzewa, a nawet baobaby, wśród których rośnie wysoka trawa. Po jarach i dolinkach spotkać można palmy wachlarzowe, zwykle bezpienne, o wielkich sztywnych liściach, które starannie omijać należy, aby zbytniego szumu w marszu nie sprawiać. W tej to przyrzecznej części lubi się trzymać lew i pantera, gdyż gęsta i wysoka trawa, lub nieprzebyte krzaki stanowią dla nich doskonałe dzienne schronisko.

Wydostawszy się z pasa przyrzecznego, wkroczyliśmy na teren jak stół równy, pokryty charakterystyczną dla tych okolic dżunglą. Są to niewysokie, dość rzadko rozsiane drzewa, przeważnie akacyowe, a między niemi trawa wysoka do pasa, lub wyżej, barwy słomiastej, prawie że białej. Trawa ta w znacznej części jest podeptana przez grubego zwierza, a ścieżki niby ludzkie przecinają dżunglę we wszystkich kierunkach—przeważnie jednak biegną z północy na południe, to jest od rzeki w głąb puszczy.

Cieniu w dżungli prawie niema, bo drzewa rosną za rzadko, a nadto drobnolistne korony przepuszczają na wskroś masę światła słonecznego. Przewagę stanowi tu pewien gatunek akacyi (zapewne *Acacia nilotica*?), o korze prawie tak czerwonej, jak koral. Z tego to właśnie drzewa Arabowie sudańscy wydobywają gumę arabską, która stanowi jedno z największych źródeł bogactwa Sudanu. Ludzie nasi w marszu zbierali większe kawałki tej żywicy i jedli ją z apetytem, a nawet mnie ją nieraz ofiarowywali, lecz spróbowawszy raz tego przysmaku, dziękowałem im stale, znajdując go równie mdłym, jak żywicę naszych drzew owocowych.

Trawa dżunglowa, jak to nadmieniłem, bywa różnej wysokości: do pasa, do ramion, a miejscami może się w niej jeździec z koniem schować. Stosownie do tego bywa i jej grubość, która niekiedy dochodzi grubości trzciny stawowej. Trawa taka pod naciskiem nóg naszych łamie się z łatwością, a kawałki jej padając, wydają dźwięczny odgłos, jakby kawałki szkła stłuczonego.

Odbiegłem na chwilę od przedmiotu, aby wam dać pojęcia o charakterze dżungli nad brzegami Nilu Niebieskiego, gdyż to wam uprzytomnić może warunki, w jakich się tam poluje. Zanim jednak wrócę do mej wycieczki, słów kilka dorzucę o wypaleniskach, jakie się tam co krok spotyka.

Krajowcy zapalają dżunglę, aby swe pastwiska poprawić, a ponieważ wszystkie osady zgrupowane są wyłącznie po brzegach Nilu, więc i wszystkie pożary od rzeki się zaczynają i biegną w kierunku wiatru, który w porze suchej dmie stale z północy na południe—ten więc kierunek posiadają wszystkie bez wyjątku wypaleniska. Szerokość ich i długość zależna są od siły wiatru, im bowiem ten jest silniejszy, tem pożar węższym pasem, lecz szybciej naprzód się posuwa

---

A widzi pan! Gdybyś znał... tego byś nie powiedział nigdy!... Ale, kiedy pan ma zamiar być w Madrycie?!

— Wkrótce. Nie wiem jeszcze, bo do upałów nie pilno mi!...

— Czekaj pan! Zobaczymy! — przerwał mi Hiszpan i wyciągnąwszy jakiś numer „Imparciala," zaczął go szybko przeglądać. Naraz matowa jego twarz okryła się rumieńcem. Schwycił mnie gwałtownie za rękę i rzucił krótko:

— Musisz pan jechać natychmiast do Madrytu!

— Co? Dlaczego?

— Tak! Musisz pan!... Dziś czwartek... wyjedziesz pan jutro, w sobotę... przyjedziesz do Madrytu! A w niedzielę... *Corrida de beneficencia*!... Pan to rozumiesz?!

— Nic a nic!...

— Więc, uroczystość, która zdarza się raz do roku! Ośmiu byków! Uważasz pan, ośmiu co najpiękniejszych!...

— Ośmiu—powtórzyłem obojętnie.

— Pan się sili na złośliwość!?...

— Gdzietam! Tylko... nie wiem, dla czego ta liczba ma mi imponować!...

— Bo, mój panie, norma widowiska to sześciu byków, bo na *corrida beneficencia* ze wszystkich okolic, zakątków Hiszpanii zjeżdża się wyborowe towarzystwo! Bo dwór, ciało ministeryalne... inteligencya—no... *high-life* hiszpański daje sobie *rendez-vous*!... Bo czterech matadorów występuje, gdy zwykle bywa jeden... bo — et... doprawdy z panem trudno się dogadać!...

— Ależ, panie!...

— Nie ma żadnego „ale," jedź pan albo natychmiast... albo odłóż pan podróż do przyszłego roku!... Panie, toż ludzie miesiącami czekają na taką wielką *corridę*!...

— Więc to „derby" londyńskie?...

Hiszpan skrzywił się pogardliwie.

— Cóż za porównanie!... Tu rycerskie widowisko, pełne tradycyi... wspomnień, poezyi... a tamto!... Phi!... Lubisz pan wyścigi końskie... możesz pan je zobaczyć i w Madrycie... jak się odbywają przed pustemi zawsze trybunami!...

Naraz Hiszpan zafrasował się.

— Ba, czy tylko pan dostaniesz bilety!

— Więc jest takie zapotrzebowanie?

— Panie... dziś już cyrk wyprzedany!... A ręczę, że miejsca po cenie nominalnej, kosztujące pięć *pesetas*, doszły do pięćdziesięciu!...

— Ileż więc cyrk mieści osób?...

— Z górą dwadzieścia dwa tysiące!...

i przeciwnie. O zachodzie słońca wiatr ścicha prawie zupełnie i dla tego pożar w nocy zamiera.

Widzimy więc, że wszystkie wypaleniska w dżungli mają kierunek z północy na południe i są rozmaitej szerokości i długości. Gdy się w głąb puszczy o kilka godzin drogi zapędzimy, już tam wypalenisk nie spotkamy.

Pożar niszczy doszczętnie trawę i drobniejszą roślinność, stanowiącą podszycie dżungli; większe jednak drzewa ostać się mu mogą, cierpią tylko na tem, że wskutek osmalenia rozwój ich częściowo wstrzymanym zostaje. Według zdania Edwarda Foa, tu szukać należy przyczyny, dla czego drzewa dżunglowe są karłowate i pokrzywione.

Horyzont w dżungli jest w różnym stopniu ograniczony. W miejscach, gdzie pożar nie przeszedł i trawa rośnie w całej pełni, ledwie na kilka kroków przejrzeć można, gdy przeciwnie na wypaleniskach, lub miejscach więcej zdeptanych, wzrok nasz sięga między rzadko stojącemi drzewami na kilkaset kroków. Względnie też do tego myśliwy stosuje środki ostrożności.

W takiej to okolicy i w takich warunkach zrobiłem pierwszą moją wycieczkę myśliwską. Porządek marszu był następujący: przodem jechał konno Mohamed, jako główny kierownik wycieczki; za nim szedłem ja, mając w ręku mannlichera, potem Ibrahim, niosąc cal. 10, dalej Stefan, chłopcy z naszemi wierzchowcami, a za nimi Abdallah—sudański murzyn z plemienia Dinka—prowadził wielbłąda z jukami, pozostając o paręset kroków w tyle, aby zbytnim szelestem zwierzyny nie płoszyć.

Tropy słoni spotykaliśmy na każdym kroku, a nawet przeważnie jechaliśmy ścieżkami, wydeptanemi przez te olbrzymy; rozrzucony jednak tu i owdzie pomiot pochodził najmniej z przed trzech albo czterech dni. Te to pozostałości służą shikarim za wskazówkę, jak dawno zwierzyna przeszła. Rozłamując pojedyncze grudy, określają oni z największą dokładnością, jak stare są tropy. Nadto kierują się oni porozrzucanemi tu i owdzie gałązkami, których mniejsze lub większe uschnięcie stanowi pewną wskazówkę co do daty przejścia zwierzyny. Same odciski stóp lub racie są mniej wydatne na tropach z dnia poprzedniego, gdyż je wiatr w części zanosi lekkim pyłem dżunglowym, zacierając do pewnego stopnia ostre kontury.

(D. c. n)



Nieco o psim organizmie i zmysłach.

(Dalszy ciąg).

O sile węchu u psa, o jego potędze, trudno dać należyte pojęcie. Zdaje się nawet, iż węch stanowi całą podstawę wrażliwości i umysłowego bogactwa zwierzęcia; bardzo wiele bowiem zjawisk duchowych psa, cała jego inteligencya opiera się na zmyśle powonienia. Buffon zmysł ten porównywa do oka, które widzi nietylko przedmioty tam, gdzie są, ale nawet tam gdzie były.

Dobry tropowiec nie dość, że zaznaczy miejsce, gdzie przed kilku godzinami stało zwierzę, ale wie w jakim kierunku ono poszło i postępując nawet za wystudzonym śladem jelenia przez góry i doliny, nie da się w błąd wprowadzić innemi, krzyżującemi go śladami, chociażby te świeższemi były. Pies rozróżni nietylko jelenia od zająca lub lisa, lecz także pojedyncze sztuki z grup tych zwierząt. Tak więc rozróżni znajomego, obłaskawionego jelenia w całem stadzie dzikich i wynajdzie go, tak samo, jak odnajdzie konia swego pana pomiędzy końmi sąsiadów po śladzie kopyt i wydzielonej zeń woni. Wyżeł przy dobrym wietrze, może zwietrzyć stado kuropatw na kilkaset kroków odległe.

Przez powonienie pies nietylko rozpoznaje łup swój, czy ofiarę, ale nabiera jeszcze pewnego pojęcia o nieprzyjacielu i godnemi uwagi mogą być fakty pewnych wrodzonych pojęć w tym kierunku, jakie budzą się w stosownych okolicznościach. Gratiolet*) przytacza małego pieska, który powąchawszy kawałek starej skóry wilczej—doznawał strasznych konwulsyj. *Notabene* piesek ten nie widział nigdy wilka i nie mógł go przecież rozpoznać w nieforemnym i nieruchomym szczątku zwierzęcia.

Wszystko to świadczy o niezwykłej wrażliwości zmysłu powonienia, jaka w tym stopniu nie daje się zauważyć u żadnego innego zwierzęcia, a dla człowieka jest wprost niezrozumiałą**)

W samem zaraniu życia psa, powonienie już tak ważną gra rolę, że gdy Biffi i Schiff w celach eksperymentalnych niszczyli szczeniętom nerwy węchowe, to psiaki nie mogły znaleźć cycka matki, a starsze psy nie okazywały żadnego przywiązania do

*) „Anatomie comparée du système nerveux"

**) „Geschichte u. Beschreibung der Rassen des Hundes" von S. Beckmann. T. I.

— Toż chyba nie podobna, aby wszystkie miejsca były takie drogie!?.. Więc ta biedna, jak pan mówiłeś przed chwilą, Hiszpania...

— Widzi pan, znów nieznajomość przedmiotu!... Czy pan wie, jaka jest różnica między dawnym ludem rzymskim a hiszpańskim?! Pierwszy wołał — *panem et circenses*, a drugi tylko o *circenses* błaga... Prawdziwy Hiszpan dla *plaza de toros* nie zawaha się oddać wszystkich swoich oszczędności... nawet wyrzec się najpierwszych swoich potrzeb!!!

Hiszpan mówił jeszcze długo — to napadając na mnie, to znów przekładając łagodnie, roztaczając przedemną malownicze obrazy—no i co chwila powtarzając: „jedź jutro!" „jedź!!.." „o jedź!!!..."

Suggestya zaczęła działać. Rozważyłem, że właśnie i tak za dni parę mam jechać do Hiszpanii, wprawdzie chciałem zacząć od Saragossy, ale skoro w Madrycie ma mnie czekać takie widowisko!... Zdecydowałem się pójść za radą.

Hiszpan, na wieść, że słowa jego odniosły skutek, uścisnął mi gorąco rękę.

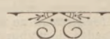
— Panie, jesteś dzielnym człowiekiem!... Sprawiłeś mi wielką uciechę! Ja, niestety, towarzyszyć mu nie mogę!... A ileż bym dał za to!!

Hiszpan uznał za właściwe zaopiekować się mną. Namówił mnie do natychmiastowego powrotu do Bajonny, ułatwił zmianę pieniędzy, a uprzejmość posunął aż do odprowadzenia dnia następnego na pociąg, mający mnie zawieść do Irunu, a ztąd, przez St. Sebastian, Vittorję, Burgos do stolicy.

Pociąg wlókł się nielitościwie, konkurując zawzięcie z naszą Nadwiślańską. Czasami przybierał szybkość tramwaju, a niekiedy ledwie pełzał! Ale, mimo to, dla tej kolei trzeba mieć jeżeli nie cały, to wielki szacunek. Sześćdziesiąt tunelów od Irunu do Vittorji! Czterysta metrów wzniesienia się na tej samej przestrzeni, a potem skały, góry, przepaście i tak przez dziesięć godzin bez przerwy, aż do końca szerokości Pirenejów, a potem początek staro kastylijskiej pustyni, a za nią nagie, spieczone szczyty Somo-Sierry, doliny zawalone jakiemiś potwornie olbrzymiemi kamieniami i wiatr suchy, gorący, rozpalony hen, na piaskach Sahary.

(D. c. n.).

Wacław Gąsiorowski.



człowieka, co wymownie, choć nie dosłownie, potwierdza zdanie Buffona.

Potęga powonienia zawisła od rozwoju nozdrzy, zatem psy o długiej mordzie i szerokich nozdrzach odznaczają się doskonalszym węchem (wiatrem), niż psy krótkomorde lub ostronose, jak charty które mają węch zupełnie słabo rozwinięty.

Niższym od węchu jest u psa *słuch*, jakkolwiek także doskonały.

Ucho, jako organ słuchu składa się z dwóch części: zewnętrznej czyli tak zwanej muszli v. konchy usznej, rozmaicie rozwiniętej i rozrosłej, od stojącej do przechodzącej w klapy i wewnętrznej, ulokowanej w kości skalistej czaszki, posiadającej główne siedlisko labiryntu usznego. Część zewnętrzna, jeżeli niepokryta klapami, to wysłana jest gęstym, szczecinowatym włosem, chroniącym przed różnemi inwazyami zewnętrznemi; jeżeli zaś pokryta klapami, jest przeważnie gołą, delikatną i posiada niezmiernie bogatą konstrukcyę chrząstkową, sprzyjającą uświadamianiu się najlżejszego szmeru. Część ta leży znacznie wyżej, niż właściwy organ słuchowy, przedzielony od zewnętrznej konchy błoną bębenkową. Po za tą błoną znajdujemy liczne i dziwnej konstrukcyi drobne przyrządy kostne, ściśle z sobą połączone, przesyłające wrażenia do mózgu za pomocą ósmej pary nerwów słuchowych, zatopionych w tak zwanym labiryncie, napełnionym cieczą. Nic dziwnego, że przy tak bogatym i skomplikowanym ustroju, słuch psa jest wyborny, jakkolwiek nie przewyższa słuchu wielu innych zwierząt.

Niepodobna dokładnie rozebrać wrażeń, jakie otrzymują zwierzęta od fal głosowych, możemy tylko do pewnego punktu polapać zjawiska, które nam mogą cechować pewne gatunki.

Z zanotowanych spostrzeżeń widzimy, że pies dokładnie oryentuje się w kierunku głosu i rozważnie nastawia ucho, które nie powinno go omylić. Umie oceniać natężenie głosu, jak również ton jego łagodny lub ostry, ale gdy zostaje pod wrażeniem pierwszego, często ignoruje drugi. Doskonale odróżnia głos człowieka, od jakichkolwiek innych i głos swego pana od głosu sług, znajomych i ludzi zupełnie obcych. Wytresowany w szkole życia—w obcowaniu z człowiekiem, i stawszy się czułym na wszystko, umie rozróżnić głos pieszczotliwy od głosu, który go łaje.

Wszelki zgiełk porusza go i niepokoi, a głos rogu myśliwskiego rozgrzewa i zapala.

Przez taką organizacyę słuchową, i oddziaływanie nań drgającego ruchu krtani, pies nietylko rozumie i odczuwa wszelką modulacyę głosu ludzkiego, ale sam wydaje głos niezwykle modulowany, świadczący o całej gamie uczuć, jakim ta istota podlegać może lub jakich doznaje. Dla tego w głosie psa rozróżniamy: *przytłumione piszczenie* (w utyskiwaniu i prośbie), *skowyczenie* (w bólu), *szczekanie* różnemi odcieniami (w radości lub gniewie), *warczenie* (w zaczepce), *mruczenie* (w figlach lub niepewnej sytuacyi), *skomlenie* (w niecierpliwości), *ujadanie* (w pobudce), *naszczekiwanie* (w afroncie lub wyzwaniu), *dziaukanie* (w pościgu za zwierzem, odpowiadające wojowniczemu—hurra!), *wycie* (w tęsknocie i smutku), i wiele jeszcze odcieni, których należycie nie dało się uchwycić lub właściwie ocenić.

Siła głosu lub jego ton najczęściej są indywidualne, zależne od rozwoju tkanek, wymiarów strun głosowych, oraz obszerności płuc, dla tego głosy dziaukających ogarów i gończych na łowach nazywamy muzyką, która jest pewnym obrazem myśliwskiej harmonii.

Zwykle każda modulacya głosu ma jeszcze niezliczone odcienie, którym zwykle towarzyszy odpowiednia mimika, to jest zachowanie się postawy psa, wyraz jego oczu, ściąganie lub fałdowanie skóry na łbie, przygryzanie fafli, ruchy nosa, ucha, ogona i t. p. co jest objawem szerokiej skali uczuć i pojęć, miotających jego sercem i umysłem.

Oko jako organ zmysłu widzenia (*wzroku*) stoi w połączeniu z mózgiem za pomocą drugiej pary nerwów wzrokowych. Znaną jest budowa oka i nie będziemy jej na tem miejscu powtarzali, zwrócimy tylko uwagę, że źrenica u psa stanowi otwór okrągły, jak u człowieka, regulowany rozszerzaniem się lub zwężaniem tęczówki pod wpływem światła. W wewnętrznym kącie ocznym leży ślepa błona dość rozwinięta i tworzy jakby trzecią powiekę, służąc za szczególną osłonę dla gałki ocznej.

Jakkolwiek psy mają wzrok bystry, niewszystkie atoli w każdej porze i w jednakowej sile. Psy, jak inne mięsożerne, mogą żerować w nocy i w nocy widzą, zwłaszcza te, które są obdarzone dobrym węchem—za wyjątkiem chartów, które jakkolwiek mają nadzwyczaj bystry wzrok podczas dnia, w nocy widzą nader słabo.

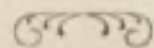
Mimo bystrego wzroku pies nie umie ocenić dokładnie wymiarów odległości, i gdy zrozumie, że musi uciekać, gdy ktoś podnosi kamień, ażeby go uderzyć, to wprawdzie ucieka, ale zatrzymuje się w odległości, jaka wydaje mu się tylko dostateczną do uniknięcia ciosu. Po paru rzutach poprawia się i staje w oddaleniu, w którem ocenia, że dosięgniętym być już nie może.

Pies wzrokiem swoim posiłkuje się tylko na tyle, żeby przenieść do mózgu wrażenie formy, koloru, wielkości przedmiotu, jego stanu spoczynku lub ruchu.

Jak reszta zwierząt, wzrok ma przedewszystkiem na usługach instynktu, przez który odbiera wrażenia surowe, będące częstokroć źródłem wielu złudzeń, przyjmowanych krytycznie dopiero przez powonienie. Nie wzrok więc, a powonienie właściwie ostrzega go o niebezpieczeństwie lub nieprzyjacielu i powonienie jest jedynym jego kierownikiem w życiu.

(D. c. n.).

Antoni Ignacy Tomaszewski.



Wyżły angielskie.

(Dalszy ciąg).

Lecz przejdźmy do bardziej szczegółowego opisania trzech odmian setterów.

Settery angielskie. Do r. 1860, to jest do otwarcia pierwszej wystawy psów, settery tak w Anglii jak i w Szkocyi i Irlandyi, dzieliły się na wiele odmian, różniących się wzrostem, lżejszą lub nieco cięższą budową i maścią, w ogóle cechami drugorzędnemi. Wszystkie one jednak były o tyle jednego typu, że na pierwszy rzut oka można je było odróżnić od psów innych ras. Jedna z takich odmian była hodowana w północnej Anglii i Szkocyi, maści czarnej z podpalaniem, która posłużyła za podstawę do wyprowadzenia pod-rasy gordon-setterów. Odmiana ta miała widoczną domieszkę krwi blood-hound'ów, po których odziedziczyła maść, dość ciężką budowę, duże i zawiesiste mordy. W Irlandyi znów hodowano przeważnie settery z małą domieszką newfoundlerd'ów, maści białej z dużemi łatami koloru mahoniu lub jednostajnie żółto-mahoniowej, od których pochodzi pod-rasa setterów irlandzkich. W ogóle jednak we wszystkich trzech prowincyach Wielkiej Brytanii każdy z bogatych lordów-hodowców prowadził własną odmianę, różniącą się od innych drugorzędnemi cechami. Ówczesne settery były najrozmaitszych maści: zupełnie czarne, czarne z podpalaniem, żółte rozmaitych odcieni, od piaskowego do mahoniowego, zupełnie białe z czarnemi oczami i nosami, oraz białe z łatami czarnemi, kasztanowatemi lub różnych żółtych odcieni.

Jednym z hodowców, którego psy cieszyły się największą wziętością, był sir Laverack. Nabył on w 1825 r. od pastora Harrisona z Carlyle parę setterów: *Ponto* i *Old-Moll* i od nich poprowadził rasę, łącząc potomstwo w najbliższem pokrewieństwie. Nie ulega wątpliwości, że od czasu do czasu musiał on odświeżać krew swoich psów setterami innych psiarni, gdyż inaczej nowa odmiana wyginęłaby bardzo prędko. Laverack jednak w książce swej o setterach nie przyznaje się do podobnych krzyżowań, dowodząc, że prowadzenie rasy samej w sobie utrwala tylko cechy, nie po-

ciągając żadnych złych następstw. Że się mylił, zaraz zobaczymy.

Psy hodowane przez Laveracka, typem zbliżone były więcej do dawnych spanieli od innych ówczesnych odmian setterów. Były one mianowicie niższe na nogach, o szerokiej piersi i beczkowatych żebrach, ogony miały za długie i przy okładaniu zwieszone nieruchomo; przytem łopatki miały zbyt skośne, a tylne nogi w kolankach zbyt wygięte, co chód ich czyniło jakby pełzającym (chód koci). Wszystkie te niedostatki wykazywał już znakomity kynolog Stonehenge.

Maść setterów Laveracka była bardzo oryginalna, mianowicie na białem tle podłużne drobne centki czarne lub żółte z nielicznemi łatami odpowiedniego do centek koloru. Pierwsze nazywano blue-belton'ami (sinemi beltonami), a drugie limon-belton'ami (żółtemi beltonami), choć sam Laverack na tę różnicę maści nie zwracał żadnej uwagi i łączył ze sobą blue i limon-beltony. U blue-beltonów zdarzało się często podpalanie na głowie.

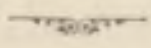
Pomimo wad wyżej opisanych, psy Laveracka prędko nabrały wielkiego rozgłosu, dzięki zaletom, wykazywanym w polu, a niemniej zapewne z powodu swej oryginalnej maści. Ale pomimo tej sławy okazało się prędko, że odmiana laveracków nie da się utrzymać w czystości; szczenięta trudno się wychowywały, a te, które zdołano wyhodować, były zbyt nerwowe i podlegały różnym chorobom. Były to konieczne następstwa łączenia w blizkiem pokrewieństwie. Pomimo, że sam Laverack, w liście do jednego z hodowców, przyznał się do odświeżenia krwi swoich psów bardzo rozrzedzoną krwią innych setterów i że Kennelklub wynalazł w rodowodach psów Laveracka pewne niedokładności, rozumie się, że umyślne, widocznie jednak i tych odświeżań krwi było zamało.

Od roku 1870 hodowlą laveracków zaczął zajmować się sir Purcell Llewellyn. Zrozumiał on prędko, że nie ma sposobu zachowania tej odmiany w czystości i zaczął odświeżać krew psami z innych psiarni. Umiejętny dobór reproduktorów doprowadził Llewellyn'a do świetnych rezultatów; psy jego były wyższe na nogach, straciły wypukłość żeber, oraz zbytnią skośność łopatek i wygięcie kolanek; ogony psów Llewellyn'a były także więcej prawidłowe.

Za przykładem Llewellyn'a poszli inni hodowcy, krzyżując laveracki z innemi odmianami angielskich setterów i starając się głównie o zachowanie oryginalnej maści. Była to epoka przejściowa, w której psy czarno lub żółto nakrapiane nazywano laweracklami, choć pod względem typu różniły się one między sobą. Tej różnorodności dziwił się Bellecroix w swem studyum o psach angielskich, uważając laweraki za rasę nieustaloną. Tymczasem była to epoka, w której laweraki, naturalnym rzeczy porządkiem, rozpływały się w masie innych odmian angielskich setterów. Z biegiem czasu, za pomocą wystaw, settery te, zachowując modną maść laweraków, nabierały jednego typu i obecnie nie ma już zupełnie i być nie może czystych laweraków, lecz istnieje jedna i jednotypowa rasa angielskich setterów z maścią centkowaną. Rasa ta nie potrzebuje już dalszych poprawek przez krzyżowania, gdyż jest dość liczną, ażeby ją prowadzić samą w sobie, bez łączenia psów w zbyt blizkiem pokrewieństwie. Spotykają się jeszcze i obecnie settery angielskie innych maści, ale są to już bardzo nieliczne resztki; psy centkowane zdobyły stanowczą przewagę.

(D. c. n.).

August Sztolcman.



Z dalekiego Wschodu.

Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że dla czytelnika jest rzeczą pierwszorzędnej wagi świadomość, kto jest autorem danego artykułu i o ile jest on z przedmiotem obeznany? W pracach, traktujących o polowaniu, tem bardziej jest to pożądanem.

Co do mnie, jestem tego zdania, że anonimy w rzeczach myślistwa miejsca mieć nie powinny. Nie rozumiem tego, dla czegóżbym ja nie mógł podpisać się pod tem, co jest zakomunikowane zgodnie z prawdą, w czem brałem osobisty udział, czego byłem świadkiem, lub o czem słyszałem od innych? Wychodząc, z tej właśnie zasady, czuję się w obowiązku powiedzieć słów parę o sobie, a to tem bardziej, że pierwszy raz występuję przed czytelnikiem „Łowca Polskiego."

Otóż Szanowny Czytelniku i Ty, Nadobna Czytelniczko, muszę Wam się otwarcie przyznać, że jestem duszą Warszawiakiem i chociaż 21 lat minęło już od tego czasu, jak pełen myśliwskiego zapału i głodny nowych wrażeń porzuciłem kraj ojczysty i puściłem się do mało znanego i mało dostępnego kraju Amurskiego i Ussuryjskiego, zdaje mi się jednak, że to było zaledwie wczoraj.

Wiele, bardzo wiele wrażeń i przeżytych epizodów myśliwskich bezpowrotnie zatarło się w mej pamięci i dziś z trudnością, jakby przez gęstą mgłę zaledwie mogę je sobie przypomnieć. Jednakże wspomnienia dawno minionej młodości na łonie ojczyzny, jak gdyby odlane z bronzu, wykute z granitu, nietknięte przez czas, nie zatarte przewrotnością losów, dziś jeszcze stoją przed memi oczami w całej pełni i jaskrawości kolorytu.

Dziś z przyjemnością przenoszę się myślą w dawno minione czasy, kiedy wśród grona miłych towarzyszów broni, robiliśmy wspólne wycieczki na niewinne zające i kuropatwy, lub na chytre lisy i wilki.

Rad będę, jeśli ożywię w ich pamięci choć słaby cień przeżytych wspólnie myśliwskich przygód i potrafię wskrzesić dawno pogrzebaną młodość, pełną życia, zdrowia, ufną w przyszłość i chciwą wrażeń.

. . . .

Obecnie, kiedy kolej żelazna oniemal z każdym dniem skraca czas i odległość, niezbędną dla przejazdu na „daleki wschód," a najrozmaitsze kombinacye życiowe rzucają nas na wszystkie strony świata, nieraz wbrew własnej woli i chęci, sądzę, że będzie na czasie poinformować zwolenników polowania o obecnem położeniu zwierzostanu, sposobach myślistwa, o miejscowych warunkach, o czem, mówiąc otwarcie, przybywający do nas rodacy, słabe mają pojęcie.

Zwierzostan w Amurskim i Ussuryjskim kraju, w przeciągu ostatnich 10 lat znacznie się pogorszył.

Ulepszenie komunikacyi w kraju, znaczny przypływ ludności, zwiększony popyt na zwierzynę, a tem samem podniesienie jej cen, ujemnie oddziaływują na nasz zwierzostan. W dodatku, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że prawo na terytoryach państwowych uważa polowanie i przemysł (promysieł) za wolne, to nic dziwnego, że zwierzostan stopniowo, z każdym rokiem znacznie się pogorsza.

Jednakże, przy tem wszystkiem, kolonizacya kraju i przyrost ludności względnie do miejscowych obszarów lasów, błot, tundry, jezior dotychczas nie wielką sprowadziły zmianę.

Zwierzyna i ptactwo na długi jeszcze czas mają zapewnioną swobodę wyboru miejsca, odpowiedniego do swoich życiowych wymagań. Przy prawidłowem polowaniu i oględnej gospodarce myśliwskiej (co zresztą jest dość trudnem do wprowadzenia, w skutek wyrobionego wiekami poglądu, że zwierz i ptak jest to dar Boży i do nikogo nie należy) obfitość zwierzyny na długi czas mogłaby zadowolnić nawet wysokie żądania myśliwych.

W tym właśnie kierunku działają miejscowe towarzystwa myśliwskie i w niektórych szczegółach myśliwskiej gospodarki dziś dosięgły pożądanych rezultatów; w ogóle jednak brak należytych praw łowieckich czuć się daje na każdym kroku. Z drugiej strony wprowadzenie onych jest dość trudne, biorąc na uwagę, że z polowania żyją jeszcze niektóre półdzikie plemiona i myślistwo dla nich stanowi jedyny środek egzystencyi.

Skutkiem takich, czysto miejscowego charakteru warunków, prawo ochronne może być wprowadzane z wielką ostrożnością. Powinno mieć ono na uwadze

ekonomiczny dobrobyt tych właśnie półdzikich plemion, żyjących po obszernych lasach i tundrach.

Jak wiadomo, dobrobyt tych plemion całkowicie zależy od obfitości zwierza i ryb w pewnych porach roku. Przeszłość daje nam częste przykłady, że mała ilość ryb lub zwierząt wywołuje pośród tych plemion epidemie tyfusu głodowego.

Takim sposobem i czynność miejscowych Towarzystw prawidłowego myślistwa powinna rachować się z tą kwestyą bytu pewnych warstw ludności, co w działalności Towarzystw europejskich na uwagę nie jest branem.

Pożądane jest więc wprowadzenie takiej kombinacyi prawa myśliwskiego, w której zwierzostan kraju nie pogorszał by się stopniowo, a zarazem aby kombinacya ta nie była powodem upadku dobrobytu, a tem bardziej przyczyną epidemii i głodowej śmierci dla koczujących dziś plemion, dla których ciężkie warunki klimatu i gruntu są nieprzebytą zaporą do przejścia w stan osiadłych, napół cywilizowanych plemion.

Taki jest los prawie wszystkich, przybywających do nas ze stolic i wielkich miast amatorów myślistwa.

Znam nawet wielu, którzy tęsknią i z przyjemnością wspominają o dawnych swych polowaniach. Takich myśliwych mamy tu całe legiony. Wszyscy oni są niezadowoleni z tutejszych warunków, a wspominając swoje cywilizowane polowania, na których bili dziesiątki kotów, siedząc wygodnie na ławeczkach; przeklinają dziś nasze gąszcze, błota, trzciny, trzęsawiska, góry i wąwozy, przepełnione bujną roślinnością, przeplecione wijącemi się krzewami, wśród których unoszą się chmury jadowitych komarów, moskitów i tym podobnych dręczycieli.

Nie mając pojęcia o rzeczywistem położeniu rzeczy, wielu z przybyłych do nas amatorów myślistwa jest tego przekonania, że zwierzostan u nas jest w ogóle marny, a przyjemność samego polowania—bardzo problematyczna.

(D. c. n.).
Jan Dąbrowski.

Z WYSTAWY W PONIEWIEŻU.



Pawilon myśliwski Konstantego ks. Radziwiłła.

Brak właśnie takich potrzebnych wiadomości w czasie przeglądu prawa łowieckiego spowadował, że i obecnie rząd znajduje się w niemożności wprowadzenia jakichkolwiek określonych praw dla całej olbrzymiej przestrzeni „dalekiego wschodu."

Przy dość ciężkich warunkach polowania, jakie obecnie egzystują w Królestwie, myśliwy-amator, przybywający do nas na daleki Wschód, czuje się nadzwyczaj swobodnym.

W drodze jeszcze marzył dniem i nocą, z jakim zapałem odda się ulubionej rozrywce—a ta obfitość i rozmaitość ptactwa i zwierza, o jakiej się nasłuchał, rozgrzewa jeszcze bardziej jego żyłkę myśliwską. Nic więc dziwnego, że w wyobraźni swej widzi setki trofeów swych przyszłych polowań. Niestety, kilka wycieczek do bliższych i dalszych okolic nie sprawdzają jego oczekiwań, zawodzą jego nadzieje i z czasem ochładzają pierwotny jego zapał myśliwski.

Rozporządzenie władzy i jego wykonanie.

Że najlepsze rozporządzenie może być zepsute przez wykonawcę, kwestyi nie ulega, i codziennie możnaby notować przykłady takiego wypaczenia najprostszych poleceń przez nieudolnych wykonawców.

Tym razem mamy do zanotowania fakt następujący.

Pan E. K., zamieszkujący stale w Warszawie, nabywszy szczeniaka rasowego gordon-settera, wychował go z wielkim trudem i mozołem, ułożył i zaczął już zbierać owoce swej pracy, pies bowiem w drugiem polu pracował doskonale.

Posiadając majątek Sienno, w pow. iłżeckim, na którym jednak p. E. K. gospodarstwa nie prowadzi, postanowił na zimę ulokować tam swego psa, do któ-

rego bardzo się przywiązał. Najął więc specyalną służącą, którą osadził we dworze i powierzył jej pieczy swego ulubieńca, któremu w Siennie było przez całą zimę jak w raju.

Przed paru tygodniami p. K. odbiera niespodziewanie depeszę, że strażnik psa zastrzelił. Pan K. bezzwłocznie udał się do Sienna i dowiaduje się o następującej historyi.

W kwietniu b. r. we wsi, o $1^1/_2$ wiorsty od Sienna odległej, wściekł się pies włościański, który pokąsał parę psów chłopskich. Wskutek tego weterynarz powiatowy wydał polecenie, aby straż ziemska psy pokaleczone wystrzelała, przez trzy miesiące rozciągnęła baczny nadzór nad wszystkiemi psami w okolicy i zabijała psy, błąkające się po polach.

Zarządzenie tak prawidłowe, że nic dodać i nic tu ująć niepotrzeba.

Wykonanie jednak tego zarządzenia wypadło bardzo niepomyślnie. Młodszy strażnik, Korenko, wytłómaczył sobie to polecenie w ten sposób, że obowiązkiem jego jest zabijać wszystkie psy, jakie tylko zobaczy i gdziekolwiekby się one znajdowały. To też zajechawszy do wsi Sienno zabił lub okaleczył kilkanaście psów chłopskich, a dojrzawszy psa p. K. w ogrodzie przy dworze, pomimo wołania służącej oraz kilku włościan, że to pies myśliwski, zdrowy i dworski, strzelił doń przez drogę i rzeczkę ze znacznej odległości i tak nieszczęśliwie psa postrzelił, że ten po kilkunastogodzinnych męczarniach zdechł. Jak stwierdzono protokólarnie, Korenko zabił psa myśliwskiego, w ogrodzonem miejscu, w odległości 60 kroków od dworu.

Oto jak wygląda rozporządzenie władzy, wykonane przez bezmyślnego służbistę.

Strażnik ziemski winien znać obowiązujące przepisy, które psów myśliwskich nie pozwalają zabijać, nawet w razie błąkania się onych po cudzem polu — a cóż dopiero w ogrodzonem miejscu przy zamieszkanym domu.

Drugą fatalną stroną tej walki z psami strażnika Korenko jest, że strzelał psy kulami z rewolweru, a więc — choćby był najlepszym strzelcem — mógł zabić na miejscu zaledwie jednego na dziesięć, dziewięć zaś niewątpliwie ranił mniej lub więcej ciężko, skazując zwierzęta na długie cierpienia, które mogły się skończyć śmiercią lub wyzdrowieniem. Do takich wypraw strażnicy winni obowiązkowo używać strzelby, która działa o wiele skuteczniej.

Z racyi poranienia kilku psów przez Korenko, p. K. zwrócił się ze skargą do Warszawskiego Oddziału Towarzystwa opieki nad zwierzętami, który zajmie się dalszym ciągiem tej sprawy.

Wycieczki podmiejskie

A MYŚLISTWO.

W Nr. 130 „Dziennika dla wszystkich" p. Marjusz wystąpił z artykułem zatytułowanym „Pod adresem pana hrabiego," w którym kruszy kopie w obronie tysięcy Warszawiaków, wyjeżdżających co niedzielę i święto, odetchnąć świeżem powietrzem w lasach, należących do dóbr Willanowskich. Krzywda wielka — według p. M. — dzieje się świątecznym spacerowiczom, bowiem służba leśna nie puszcza ich w głąb lasu. I dziwnem to się wydaje p. M., bo przecież „drzewa nikt nie pokradnie, trawy nie wydepcze, ani sarny nie dogoni," czyli innemi słowy, tłumna inwazya na cudze pola, łąki i lasy, według p. M., nie szkodzi ani gospodarstwu rolnemu, ani leśnemu, ani łowieckiemu.

Tak fałszywych do gruntu pojęć w dziennikach rozpowszechniać się nie godzi.

Pierwszym podstawowym warunkiem gospodarstwa łowieckiego jest niczem niezamącony spokój i cisza w łowieckich rewirach. Zwierzyna, nienawykła do obcowania z ludźmi, ucieka od człowieka; skłania ją do tego instynkt zachowawczy. Płoszona ustawicznie, wynosi się w miejsca odludne, starannie omijając przestrzenie, gdzie ani spoczywać, ani żerować spokojnie nie może. Gdzie nie ma zupełnego spokoju, tam ani zwierz, ani ptak gniazda nie uściele, bo czuje, że nie zdołałby wyhodować swojego potomstwa. A przecież, nie mówiąc już o zwierzu, każdy szlachetny ptak łowny ściele gniazdo na ziemi. Bażant, cietrzew, kuropatwa, przepiórka i t. d. wszystko to lęgnie się w polu lub w lesie na ziemi. Wiadomo powszechnie, że w lasach obciążonych serwitutami, pomimo największych starań nie można doprowadzić hodowli zwierzyny do stanu kwitnącego, bo ustawiczny ruch pasącego się bydła, czy ludzi zbierających gałęzie, sprawia niepokój, którego zwierzyna nie znosi, chociaż widok bydła płoszyć by jej nie powinien. Ważność niezamąconej niczem ciszy w polu i lesie dla hodowli zwierzyny ma dziś tak doniosłe znaczenie w gospodarstwie łowieckiem, że dla niej w postępowych myślistwach zreformowano zupełnie system polowań. Liczne obserwacye hodowców zwierzyny i myśliwych doprowadziły do tego wniosku, że daleko lepiej jest raz w rok opolować cały rewir łowiecki i wybić odrazu oznaczoną ilość zwierzyny, aniżeli mącić jej spokój kilkakrotnemi do roku mniejszemi polowaniami. Z tego samego powodu kulturalne gospodarstwa łowieckie z wielkim żalem muszą się wyrzec tak miłego i ponętnego polowania, jakiem jest polowanie z ogarami.

P. Marjusz twierdzi, że sarny nikt nie dogoni. Jeżeli to będzie sztuka starsza, to zapewne, nikt jej nie dogoni, ale za to wygoni na cztery wiatry z lasu raz na zawsze, a jeśli to będzie młode koźlątko, to dość głośnego okrzyku zachwytu: — Ah! co za piękna sarenka! — a biedactwo przerażone przywaruje do ziemi tak, że każdy ręką wziąć je może.

Wobec tego wszystkiego, czy administracya majątku, w którym hoduje się zwierzynę, może pozwolić na tłumne spacery tysięcy ludzi po polach i lasach?

Dwóch odpowiedzi w danym wypadku być nie może. Administracya nie tylko na spacery tysięcy ludzi pozwolić nie może, ale najpierwszym jej obowiązkiem jest bronić lasu wszelkiemi możliwemi sposobami przed nawałą miłych zawsze gdzieindziej, ale tu bynajmniej nie pożądanych gości.

Twierdzi dalej p. Marjusz, że „trawy nikt nie wydepcze." Twierdzenie to pozbawione jest logicznej podstawy i samo w sobie zawiera przeczenie. Każdy kto chodzi po ziemi, musi ją deptać, a więc i zdeptać wszystko to, po czem stąpa. Kochani Warszawiacy skrzydeł, niestety, nie posiadają! To też spacerując tysiącami po cudzym lesie, wydepczą nie tylko trawę, ale i całe podszycie lasu. Nasienie drzewa spoczywa w ziemi lat parę, poczem ziarnko kiełkuje i rodzi się na świat wątła roślinka, która podeptana w swoim zarodku, czy wkrótce po narodzeniu, zamiera na zawsze. Las w takich warunkach nie odmładza się, zmienia zupełnie swoją fizyognomję i traci na wartości.

Wreszcie ironiczne dowodzenie p. Marjusza, że „drzewa nikt nie pokradnie," także nie wytrzymuje żadnej krytyki. Zapewne, chojaka nikt pod pachę nie weźmie, ale czy spacerowicze szkody w drzewie nie robią, niech odpowiedzą następujące fakta. W leśnictwie Kabaty, niedaleko przystanku Pyry, znajduje się goła przestrzeń, około 10 morgów mająca, zwana *wypaleniskiem*. Przed paru laty z niewiadomego powodu wszczął się w lesie pożar, który zniszczył las na tak znacznej przestrzeni, co stanowi stratę poważną. W roku zeszłym w leśnictwie Wawer spłonęło 6 morgów bardzo ładnego kilkoletniego zagajnika, którego wartość oceniają najmniej na 1000 rubli. W roku bieżącym w temże leśnictwie już pięciokrotnie powstawał ogień, który tylko dzięki czujności straży leśnej, udało się stłumić w zarodku. We wszystkich tych wypadkach jedyną przyczyną pożaru mogło być nieostrożne zaprószenie ognia przez spacerowiczów, czy to przez nieoględne porzucenie płonącej zapałki, czy niedopałka cygara lub papierosa.

Nie trzeba być specyalistą rolnikiem czy leśniem, aby zrozumieć, że dowodzenia p. Marjusza pozbawione są wszelkiej racyi. Pan M. biorąc asumpt z nieporozumień, jakie zaszły pomiędzy publicznością a strażą leśną willanowską, staje w obronie publiczności. Tym-

czasem winna tu sama publiczność, która chcąc siłą zdobyć zadowolenie swoich zachcianek, natrafia na zupełnie legalny opór lub też demoralizuje służbę przekupstwem, skłaniając ją w ten sposób do lekceważania rozkazów zwierzchniej administracyi.

Pan M. twierdzi, że dawniej w Willanowie było inaczej, że za ś. p. Augustowej hr. Potockiej lasy i pola willanowskie rozbrzmiewały wesołym śmiechem i gwarem—a teraz jakoby jest inaczej. Wcale tak nie było. Przed zaprowadzeniem kolejek podmiejskich wyprawa do Willanowa była daleką i kosztowną, a do Piaseczna lub Wawra jeździło się tylko za interesem. Do Willanowa zajeżdzało na spacer kilka lub kilkanaście osób, które mile spędzały czas na spacerze po wspaniałym willanowskim parku, czując doskonale, że korzystają z uprzejmości dostojnej Pani. Dziś, po zaprowadzeniu kolejki, wycieczki do Willanowa zdemokratyzowały się zupełnie, zjeżdża tam codziennie parę set osób, a w niedziele i święta odbywa się formalna wędrówka narodów. Hr. Ks. Branicki, jak ongi ś. p. Pani Augustowa Potocka, otwiera gościnnie najwspanialszą część swojej rezydencyi, bo park w Willanowie i w Morysinku, ale publiczność coraz więcej zapomina, że to jest tylko uprzejmość hrabiego, czuje się tam z każdym dniem swobodniejszą, jak w domu u siebie i żąda już dziś więcej t. j. otwarcia dla niej wszystkich willanowskich lasów, do których dociera trzema kolejkami wilanowską, piaseczyńską i wawerską, co jest rzeczą wprost niemożliwą.

Obowiązkiem popularnego dziennika w danym wypadku jest oświetlić sprawę właściwie i przypomnieć ogółowi, że cudzej własności nie można traktować jak *res nulius*, a w żadnym razie nie godzi się wprowadzać jakiegoś zamętu w pojęciach o prawie własności i publicznemi występami, opartemi na niewyrozumowanych dobrze faktach, podniecać wielu przeciwko jednemu.

Kto wiatr sieje—burzę zbiera. To posiew niezdrowy, z którego może wzejść złe ziarno.

J. Z.

Korespondencye „Łowca Polskiego."

Szepetówka (gub. Wołyńska), *w lipcu.*

Przed paru dniami zaraportował leśniczy rew. Klementowieckiego, iż wieczorem i rano słyszał ciągnące głośno słonki. Chcąc się przekonać o tem nadzwyczajnem spostrzeżeniu, udałem się w dniu 19 b. m. (2 lipca) na wskazane przez leśniczego miejsce i skonstatowałem, iż spostrzeżenie leśniczego było prawdziwe. Słyszałem i widziałem 8 ciągnących głośno słonek, z których jedną na dowód ubiłem. Zdaje się, że zjawisko to przypisać należy temu, iż w roku bieżącym zatrzymała się w naszych lasach większa ilość słonek i gdy samice wysiadują lub prowadzają młode, stare samce szukają jałowych samic. Niewielką ilość gniazdowych słonek mamy każdego roku, lecz ciągu samców o tej porze nikt nigdy nie zauważył.

Drugie niezwyczajne zdarzenie mieliśmy w tym samym czasie z łosiami. Gdy w dniu 18 b. m. (1 lipca) strażnik leśny Chrystiuk (n. b. zamiłowany myśliwy i tępiciel drapieżnej zwierzyny) przybył z obchodu nocnego, zastaje w ogrodzie obok domu, żerujące dwa łosie, a ponieważ las nasz w tem miejscu ogrodzony jest 3½ łokciowym parkanem, więc czemprędzej otwiera jedno przęsło ogrodzenia, robi z żoną i dziećmi obławę, i zapędza łosie do zwierzyńca.

W 8000 morgowym zwierzyńcu łosiom widocznie się spodobało, bo znalazłszy od razu odpowiednie bagna i łozy nie myślą z nich wychodzić, a przynajmniej dotychczas niestarają się podchodzić do ogrodzenia, ażeby wyjść na swobodę. Jestto parka 2 latków, którym trudno będzie obecnie z ogrodzenia się wydostać, chociaż stary łoś, któregośmy przez kilka lat w tymże zwierzyńcu chowali, bez żadnego wysiłku parkan ten przesadzał.

W lasach naszych i okolicznych już od 20-tu lat łosi w stanie dzikim nie widziano i tem więcej nas zadziwia przybycie tej parki, proszącej nas o gościnność, że mogła przejść niespostrzeżenie przez sąsiednie lasy i przez dłuższy czas się tamże utrzymać, gdzie niezważając na bardzo już rozkwitłe kłusownictwo, upraszani przez włościan, niektórzy właściciele lasów lub ich zastępcy administracyjni, tępią co tylko pod lufę podejdzie, a jeżeli już sami nie mogą nic znaleźć w swoich lasach, to dają znanym raubszycom swoje własne fuzye, ażeby im zwierzynę z ościennych lasów dostarczali. Ostatni ustęp odnosi się do pewnego jegomości, którego, jeżeli nie zaprzestanie swego niegodnego postępowania, publicznie wymienię.

Od kilku lat nie mieliśmy już u nas wilków. Tej zimy jednego ubito, a obecnie jednego już kilkakrotnie zauważono i jak się dowiaduję, w sąsiednich lasach jeszcze kilka wilków widziano, a nawet robią dotkliwe szkody okolicznym mieszkańcom. Dla nas wilk w lesie, gdzie znajduje się z górą 2000 sztuk sarn, jest ogromnym postrachem; więc też całe siły wytężamy, ażeby takich nieproszonych gości od razu się pozbyć i jakoś nam się zawsze to udaje, lecz dzisiaj, wobec gąszczów, traw i czarnej stopy, trudno będzie przyjść do strzału, a do pierwszej porowy jeszcze bardzo daleko.

Rok bieżący dla zwierzostanów w naszych okolicach, można nazwać bardzo pomyślnym; zwierzyna przezimowała bardzo dobrze, to też dzików i sarn w lasach Szepetowieckich jest taka obfitość, iż możemy odbić jednych i drugich najmniej po 200 sztuk.

Zajęcy i ptactwa (prócz przepiórek) w rewirach polnych, na polach i bagnach, jest wielka ilość i spodziewamy się obfitego połowu zwłaszcza z kuropatw, których jaja sprowadziliśmy przed 5-ma laty z Królestwa i przez te kilka lat na całą okolicę się dużo rozmnożyło. Przepiórek od kilku lat coraz mniej się pokazuje, a i w tym roku niewiele się odzywa.

W. M.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Nadzwyczajne Ogólne Zebranie, 4 lipca. Zebranie to zwołane zostało w celu dokonania wyborów do Wydziału Gospodarczego. Otóż większością głosów do tego Wydziału wybrani zostali pp.: Aleksander Patzer, dr. Henryk Dziedzicki, Henryk Hoberbusz, kap. Aleksander Żabczyński, Stanisław Dziechciński i Bronisław Wysocki.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 8 lipca. Postanowiono otworzyć polowanie na kaczki i ptactwo przelotne z wyjątkiem przepiórek na terenach Osieckich w d. 14 b. m. Członkowie, wybierający się na polowanie, winni zaopatrzyć się w bilety sezonowe, które wydaje kancelarya Oddziału.

Postanowiono również przyjąć jeszcze jednego strzelca, któremu oddaną zostanie pod opiekę część terenu Osieckiego od strony Reguta.

Posiedzenie Rady, 3 lipca. P. L. Szafrański żąda zmiany stróża przy miejscu ochronnem w Czemiernikach. Żądaniu temu, po ściągnięciu opinii o nowym kandydacie, uczyniono zadość.

P. gubernator suwalski nadesłał wykaz broni, odebranej kłusownikom w 1900 r. przez straż ziemską. Wykaz ten obejmuje 255 sztuk broni palnej. Rada postanowiła przesłać na ręce p. gubernatora 130 rub. na nagrody dla straży ziemskiej gub. suwalskiej.

Posiedzenie Rady, 9 lipca. Pani Szrednicka, zapisawszy się na Członka rzeczywistego, zażądała założenia miejsca ochronnego w majątku jej Żarkowicach, w pow. olkuskim, na przestrzeni 7 włók i wyznaczenia 1 stróża. Postanowiono zgodnie z żądaniem miejsce ochronne założyć i stróża zamianować.

W strzelnicy letniej Oddziału (w ogródku, przy lokalu Oddziału) rozegrywają się obecnie 2 konkursy: z małokalibrowych sztucerków i floberowych pistoletów. W każdym z tych konkursów są trzy nagrody: pierwsze składają się z cennych przedmiotów, a drugie i trzecie z żetonów złotych.

Konkursa rozpoczęte d. 7 lipca, mają się skończyć w ciągu 2 tygodni, jeżeli w tym czasie członkowie wystrzelają najmniej 200 kartonów w konkursie sztucerowym, a 150 w pistoletowym. O ile zaś *minimalna* ilość kartonów nie będzie wystrzelona w tym czasie, konkurs przedłużony zostanie do 6 sierpnia włącznie, poczem zamknięty będzie bez względu na ilość wystrzelonych kartonów.

Jak dotychczas udział Członków w tych konkursach jest bardzo ograniczony, a szkoda, przyjemna to bowiem rozrywka i wprawa bardzo pożądana dla każdego myśliwego.

Oprócz Członków w konkursie mogą przyjmować udział i wprowadzeni goście.

Drobiazgi Myśliwskie.

Walne Zgromadzenie galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego odbyło się, według zapowiedzi, w d. 30 czerwca i 1 lipca. Zebranie było nieliczne, zgromadziło się bowiem zaledwie 20 członków. Przewodniczył Roman hr. Potocki.

Na zebraniu tem, pomiędzy innemi, wice-prezes Towarzystwa, p. Czarkowski-Golejewski, zdawał sprawę z kongresu myśliwskiego, który odbył się w Wiedniu w d. 9 marca b. r., a mianowicie z referatu p. Denka, który zaprojektował utworzenie „Związku austryackich kół myśliwskich i z myślistwem związek mających." Zdaniem referenta tak wielkie stowarzyszenie myśliwskie przyczyniłoby się niezawodnie do rozwoju łowiectwa; wspólnemi siłami mogłoby wystarać się o utworzenie Rady łowieckiej przy boku ministra rolnictwa i zorganizować oddział prawny, który w zasadniczych dla ogółu kwestyach myśliwskich popierałby we wszystkich instancyach dane sprawy. Związek zająłby się też sprawą unormowania wynagrodzeń za szkody, zrządzane przez zwierzynę. Składki członkowskie Związku wynosiłyby 2 korony rocznie od właścicieli i dzierżawców polowań, a 1 korona od zawodowych myśliwych. Kongres jednogłośnie postanowił Związek (*Verband österreichischer Jagdinteressenten*) zorganizować, a Walne Zebranie we Lwowie obradowało nad sposobem przystąpienia do tego Związku. Obawiając się dążności centralistycznych Związku, które mogłyby zaszkodzić autonomicznemu stanowisku myśliwskiemu Galicyi, zebrani postanowili, że Towarzystwo dla poparcia Związku przystąpi jako jednostka zbiorowa, płacąc z ogólnych fundunów jakąś sumę około 50 koron rocznie, zastrzegając sobie prawo wycofania się ze Związku w każdej chwili.

Rozdzielono też nagrody imienia hr. Józefa Potockiego, powstałe z daru hrabiego, w celu zachęcenia służby leśnej do energiczniejszej działalności na polu łowiectwa. Na 7 wyznaczonych nagród stawiło się tylko 4 kandydatów, którym też przyznano te nagrody w kwocie 40, 30, 30 i 20 koron. Przy rozdziale nagród kierowano się ilością schwytanych i pociągniętych do odpowiedzialności kłusowników.

Z kazuistyki sądowej galicyjskiej sprawozdanie z Zebrania notuje fakt, istotnie humorystyczny. Kłusownik schwytany na strzelaniu do zwierzyny z pistoletu skazany został przez Starostwo, lecz uniewinniony przez Namiestnictwo, gdyż ustawa mówi tylko o *strzelbie*, zaś o *pistolecie* nie wspomina.

W d. 1 lipca odbyło się konkursowe strzelanie ze sztucerów do tarczy stałej na 80 kroków, do takiejż tarczy na 120 kroków, do tarczy ruchomej, przedstawiającej dzika na 100 kroków, do takiejż tarczy przedstawiającej lisa na 100 kroków—i z pistoletów na 25 kroków oraz strzelanie do wyrzutek (kul szklannych). W każdym konkursie były do zdobycia trzy nagrody w cennych przedmiotach.

⁂

Eward Foa znany podróżnik francuski, który 15 lat spędził w Afryce, polując na grubego zwierza, zmarł przed paroma tygodniami we Francyi. Foa napisał dwa dzieła myśliwskie: „Mes grandes chasses" i „Chasses aux grands fauves." Okazały pogrzeb odbył się w Paryżu. Zmarły podróżnik był żydem.

⁂

Zbieranie jaj mrówczych a raczej wybieranie tychże z mrowiska, nie jest bynajmniej zachęcającą i miłą pracą, a jednakże jest sposób praktykowany przez dzikich krajowców Australii i Ameryki południowej, który upraszcza pracę tę znacznie i usuwa właśnie to nieprzyjemne „wybieranie." Na Litwie, w gub. grodzieńskiej, próbowałem zastosować go do naszych mrówek i otrzymałem znakomite rezultaty.

Do zbioru wybiera się możliwie pogodny i skwarny dzień. Obok, a w każdym razie możliwie blizko mrowiska, na miejscu słonecznem, oczyszcza się równy kwadrat ziemi z mchu, igieł, szyszok i t. p. i nakrywa się go płócienną białą płachtą. Należy uważać, aby oczyszczony kwadrat był większy od płachty o tyle, aby od każdego jej brzegu stopa lub dwie zostawało. Następnie na każdym rogu tego kwadratu i co łokieć w jego bokach robi się małe na 6 cali głębokie i tyleż szerokie dołki, które gałązkami i liściem przykryć należy. Gdy to już gotowe, bierze się szuflą środek mrowiska, jak jest: jajka, mrówki, źdźbła gałązek etc., wszystko razem i rzuca się na środek płachty.

Po małej chwili, gdy mrówki zdążą się rozejrzeć w położeniu, rzucają się one do ratunku jaj, zagrożonych przepalaniem przez ostre promienie słońca (dla tego starać się koniecznie należy, aby miejsce tej operacyi było słoneczne) i chwyciwszy każda za swoje, zaczynają je unosić do chłodu i w miejsce bezpieczne. Dołki okryte i ocienione, wzdłuż brzegów płachty, zupełnie odpowiadają wymaganiom, w nie też znoszą one i składają na gwałt swe skarby, tak, że dla człowieka pozostaje wtedy tylko od czasu do czasu przegarnąć mrowisko na środku płachty lub dorzucić tam świeży ładunek, a ostatecznie wybrać skrzętnie zniesione jajka z dołków. *Dąbrowa.*

WYKAZY MYŚLIWSKIE.

W rewirach księcia Reuss zabito podług „Ill. Jgd. Ztg." w 1900 roku.

Zwierzyny użytkowej: 135 jeleni i sarn, 1,525 zajęcy, 300 bażantów, 731 kuropatw, 70 przepiórek, 12 słonek, 60 sztuk innej rozmaitej użytkowej zwierzyny. Razem 2,833 sztuk.

Drapieżników: 13 lisów, 3 borsuki, 36 kun, 100 tchórzy, 105 łasic, 1,232 czworonożnych szkodników i 702 lotnych rabusiów, jastrzębi i t. d. Razem 5,030 sztuk.

Zapytania i Odpowiedzi.

Zapytanie № 12. 1). Czy mechanizm eżektorów, w dubeltówkach śrótowych myśliwskich, jest trwały i nie podlega częstemu psuciu się, a zarazem, czy nie osłabia zbytnio przedniego drewnianego pudła strzelby, w którem jest pomieszczony?

2) Jakiego kalibru będzie najodpowiedniejszy sztucer (Express), na dziki i łosie i jakiej fabryki są uważane za najlepsze?

Oskar Ścibor Rylski.

Odpowiedź № 12. 1). Eżektory posiadają, jak dotychczas, mechanizm bardzo skomplikowany, a temsamem podlegający psuciu się. Dlatego zalecamy użycie ich li-tylko przy broniach wysokiej klasy, w których doskonałość materyału i dokładność wykonania jest gwarancyą trwałości. Znamy liczne wypadki używania przez długie lata strzelb z eżektorami, które jednak nie psuły się, mimo częstego strzelania.

2) Na grubego zwierza, jak dziki i łosie, radzimy używać grubszych kalibrów (450 lub 500), z których kula daje zawsze więcej farby. Największą sławą cieszą się ekspresy Johana Springera w Wiedniu lub firmy Holland and Holland w Londynie. Jest to zarazem odpowiedzią na punkt trzeci, którego nie przytaczamy.

Treść Nr 14 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub 1 60 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15. w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

☛ *Leśnicy, gajowi lub strzelcy, obeznani dokładnie ze sposobami układania wyżłów, którzy mogliby za odpowiednią opłatą przyjmować do układania psy pp. Członków Towarzystwa prawidłowego myślistwa zechcą nadesłać swoje oferty, z powołaniem się na poważną rekomendacyę, do Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Smolna 34).*

Dostawca pięciu dworów  Cesarskich i Królewskich

C. M. SCHRÖDER

poleca

Fortepiany i Pianina

w wielkim wyborze, po cenach przystęp. w Składach Fabrycz.

w Warszawie, Nowy Świat Nr 30,

(Numer telefonu 1288). 127

w Łodzi, Piotrkowska Nr 46.

Sprzedaż na raty. Wynajem.

Cenniki illustrowane na żądanie bezpłatnie.



Wielki wybór powozów gotowych

Filipa Loretz

Warszawa, LESZNO 23 (Dom własny).

Egzystuje od roku 1865.



GRETILLAT

Warszawa, Niecała 10.

Najstarsze biuro nauczycielskie poleca: guwernerów, nauczycielki freblówki, na żądanie sprowadza francuzki, szwajcarki, niemki. 134

„Original“ Champagne MINET JEUNE Reims-Varsovie.

Firma założona w r. 1825. 150

Żądać z marką fabryczną „Oryginal“ Champagne Minet Jeune na etykiecie i na korku.

P. P.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić **J. W. Panów**, iż z dniem 8 lipca r. b. wystąpiłem z prowadzonego dotychczas przezemnie w Warszawie przy ulicy Bielańskiej Nr 7 magazynu ubiorów męzkich pod firmą „M. Stankiewicz i N. Klein“ i **otworzyłem magazyn własny** w Warszawie przy **ulicy Erywańskiej Nr 14.**

Dziękując najuprzejmiej za łaskawie okazywane mi dotychczas względy, pragnę polecić swe usługi i nadal **J. W. Panom.**

Z poważaniem

Erywańska Nr 14. (63) ***M. STANKIEWICZ.***

Pracownia CHEMICZNO-BAKTERJOLOGICZNA
Towarzystwa Farmaceutycznego Warszawskiego
pod zarządem

EDWARDA KOPERSKIEGO

Warszawa, ul. Długa Nr 16 (pierwsze piętro). Pracownia otwarta od godz. 9 do 3.

Pracownia przyjmuje: rozbiory fizjologiczno-chemiczne, badania chemiczne i bakterjologiczne **produktów spożywczych** i technicznych, określenie dobroci **i czystości towarów** i przetworów farmaceutycznych, **rozbiory ziemi** i **nawozów sztucznych, a także płyny mianowane,** odczynniki, roztwory barwników i t. p.



Zakład Zoologiczny J. Zondermana w Warszawie

przy ul. Ś-to Krzyzkiej Nr 34 poleca w wielkim wyborze: **papugi** gadające w różnych gatunkach, kakadu, inseparables, kardynały, chińskie słowiki, różne gatunki małych bar. ozdobnych ptaków, **kanarki** z gór Harcu oryginalne turkoty, **małpki**, złote i srebrne **rybki**, różne gatunki podzwrotnikowych ryb, **płazy**, **akwaria**, terrarja, **klatki** w różnych fasonach po cenach bardzo przystępnych. (29)

Nowość: **Eleganckie samodziałające Fontanny** b. praktycznego systemu.



SKŁAD BRONI

L. Niżałowskiego

Majstra cechowego.

w Warszawie, Królewska Nr. 31.

Poleca bronie wypróbowane pierwszorzędnych fabryk zagranicznych.

CENY PRZYSTĘPNE.

Przy sklepie warsztat pod osobistym zarządem.

Poszukuje posady nadleśnego, leśniczego lub łowczego od 1 paźdz. człowiek 36 lat. Świadectwa na żądanie przedstawić mogę bardzo chlubne i powołać się na rekomendacye osób wysoko postawionych w kraju. Wiadomość w Redakcyi „Łowca Polskiego“ S. L. (51)